

Traktat o podłożonym ogniu

1

Dwudziestego ósmego lipca 1988 roku w kronikach kryminalnych gazet ukazała się wzmianka o tym, że niejaka Marta Koen zginęła w pożarze swego mieszkania przy ulicy Rigi z Fery 28. Zdarzenie to zapewne pozostałoby niezauważone, gdyby jeden z redaktorów nie odkrył wiadomości, że ta właśnie Marta Koen przed dziesięciu laty – wówczas siedemdziesięcioletnia – zajęła w Maratonie Belgradzkim zdumiewające dziesiąte miejsce. Po tym odkryciu wszystko zaczęło toczyć się z filmową szybkością. Uwagę belgradzkich czytelników zwrócił fakt, że wśród tych, którzy nazajutrz zamieścili nekrologi w „Politice”, znalazły się najgłośniejsze nazwiska z partyjnej i państwowej góry.

Następnego dnia Marta Koen – odznaczona Orderem Partyzanckim 1941 – została uroczyście pochowana na Nowym Cmentarzu w Belgradzie. W pogrzebie uczestniczyli Milovan Đilas i Aleksandar Ranković (o którym nikt nie wiedział na pewno, czy już nie żyje, czy dopiero ma umrzeć). Wszystko to było zagadkowe. Ludzie zastanawiali się, kim jest ta Marta Koen. A żeby sprawa była jeszcze bardziej tajemnicza, na pogrzebie doszło do prawdziwego dramatu. Karabiny, z których asysta honorowa oddała salwę, załadowano

przez pomyłkę amunicją bojową. Jeden z pocisków trafił prosto w czoło chorążego N. M., który obserwował pogrzeb z balkonu swego mieszkania. Zachwiał się, stracił równowagę i zaczął spadać z jedenastego piętra prosto na przystanek tramwajowy przy ulicy Roosevelta. Widząc, że spadające ciało może pociągnąć za sobą kolejne ofiary, żona chorążego krzyknęła: „Uważajcie!”.

I tak spowodowała jeszcze więcej ofiar.

Ostrzeżeni jej krzykiem ludzie na przystanku w strachu przed spadającym ciałem rozbiegli się na wszystkie strony. Sześciuro wpadło pod rozpędzony (nieistniejący w Belgardzie) tramwaj numer osiemnaście i zginęło na miejscu.

Gazety ten wypadek przemilczały.

W prasie pojawiło się natomiast mnóstwo artykułów i felietonów poświęconych Marcie Koen. Byłem wtedy dziennikarzem „Borby”, organu Socjalistycznego Związku Ludu Pracującego, która coraz bardziej traciła wpływ i czytelników. Redaktor naczelny, człowiek starej daty, nie lubił – jak zwykł to określać – t r u p i e g o d z i e n n i k a r s t w a. Nie było jednak rady, nie dało się oprzeć naciskom. Któregoś dnia wezwał mnie, postawił kawę i powierzył mi zadanie, bym – nie goniąc za sensacjami – dowiedział się jak najwięcej o życiu denatki. Szczerze mówiąc, nie byłem zachwycony. Myślałem sobie: jeszcze jedna z tych ponurych, dostojnych biografii zaczynających się od: „Urodzony w ubogiej rodzinie, we wczesnej młodości przystąpił do ruchu rewolucyjnego”, a kończących: „Jego świetlana postać i dzieło to wzór dla przyszłych pokoleń. Cześć jego pamięci”.

Czas pokaże, że nie miałem racji. Czas, ten niepowstrzymany nurt, który z opóźnieniem wyrzuca drobne muszle prawdy na papierowe brzegi chybionych publikacji.

Po kilku dniach, jak grom z jasnego nieba, huknęła wiadomość, że pożar w mieszkaniu Marty Koen to nie wypadek. Ogień został podłożony. Wkrótce też zatrzymano sprawcę, mężczyznę w nieokreślonym wieku, w zakonnym habicie, nieposiadającego jakichkolwiek dokumentów.

Człowiek ten twierdził, że ma na imię Nikodem. Serbska Cerkiew Prawosławna, pewnie ze strachu przed ateistyczną władzą, szybko wydała oświadczenie zaprzeczające, by podejrzany kiedykolwiek przyjął święcenia w którymkolwiek z zakonów. Gdy okazało się, że Marta Koen nie jest ofiarą nieszczęśliwego wypadku, ale zbrodni, fama o jej życiu przeniosła się na niby to poważne szpalty poświęcone masońskim, komunistycznym i watykańskim spiskom. Sensację potęgował bardzo dziwny fakt, że w oficjalnej historii nie można było znaleźć ani słowa o nieboszczce, podobnie jak w mnóstwie wspomnień wybitnych rewolucjonistów. Ani jednej wyblakłej fotografii w powodzi ksiąg o brygadach partyzanckich.

W takiej sytuacji powstało mnóstwo felietonów o życiu Marty Koen. O jej rzekomej roli w przygotowaniach do rewolucji październikowej. O bohaterskiej postawie podczas wojny domowej w Hiszpanii. Wszystkie te artykuły zawierały całkowicie różne, niesprawdzone, nawet szaleńcze opowieści o życiu Marty, co w ówczesnej gorącej atmosferze tylko zwiększało ich wiarygodność. W gazecie „Večernji vesnik” jakiś rozzuchwalony autor napisał, że Marta Koen uczestniczyła w rewolucji francuskiej i na czele oddziału sankiulotów dzielnie walczyła na paryskich barykadach¹.

Nie można zapominać, że był to koniec lat osiemdziesiątych, kiedy najfantastyczniejsze sprawy przyjmowano jak najpoważniej. Gdy konfabulacje nawiedzonych grafomanów, ogłoszone wieczorem w bulwarowych piśmidłach, nazajutrz rano okazywały się polityką państwa. Kiedy szczątki świętych, wyrwane ze spokoju relikwiarzy, zbezczeszczone, przedstawiano oczom tłumu jako argumenty polityczne. W skrajnych przypadkach szczątki świętych miały nawet odgrywać rolę aktywistów. Co do mnie, to jestem teraz wariatem (nie warto posługiwać się eufemizmem p s y c h i c z n i e

1 Wspomniany autor opublikował także dowody: kilka nieczytelnych listów w kiepskiej francuszczyźnie i fotografię kobiety z obnażonymi piersiami, przypominającej nawet Martę Koen z młodości. Patrz: Album fotograficzny (przyp. aut.).

chory) i z okna szpitala im. dr. Lazy Lazarevicia lepiej widzę te czasy. Jako że patrzę na rzeczy od środka. Z odwrotnej strony. Jeśli zdołam, później to wyjaśnię.

Zapamiętajcie te słowa, ważne dla zrozumienia opowieści o Marcie Koen.

Już wtedy przeczuwałem, że dobrze się to nie skończy. Milczałem jednak – z obawy, że wyrzucą mnie z pracy i ze Związku Komunistów Jugosławii. Inni też się bali. Wszyscy się bali. Strach unosił się nad Serbią. Ludzie, podobnie jak ja, udawali, że wierzą w to, co się z nami wyprawia. Wiara czyni cuda. Fałszywa wiara potrafi czynić jeszcze większe.

I wkrótce jeuczyni.

Jeżeli nie zapomnę, jeszcze do tego wrócę. Zadanie dziennikarza – odkrycie prawdziwej historii Marty Koen – które z początku wydawało mi się nieciekawe, z czasem wciągnęło mnie, stało się obsesją i na koniec doprowadziło do szaleństwa. W odróżnieniu od kolegów z kolorowych czasopism przyjąłem rolę dziennikarza śledczego. Na początku założyłem, iż nieobecność Marty Koen w oficjalnych mediach i monografiach może oznaczać tylko jedno: że kiedyś w czymś paskudnie nawaliła. Naraziła się. Podpadła. Z drugiej strony zestaw żywych, martwych, byłych i obecnych funkcjonariuszy, którzy pojawili się na jej pogrzebie, niedwuznacznie świadczył, że musiała być ważną osobistością. Dlatego zacząłem od podstaw, od rezolucji Biura Informacyjnego², pierwszej wielkiej powojennej czystki, która wykończyła wielu wybitnych rewolucjonistów. Dobry początek! Po zamknięciu obozu na Nagiej Wyspie³ Komunistyczna Partia Jugosławii odeszła

2 Biuro Informacyjne Partii Komunistycznych i Robotniczych (Kominform), powołane w 1947 z inicjatywy Stalina, rozwiązane w 1956 roku; w jego skład wchodziły partie komunistyczne Bułgarii, Czechosłowacji, Francji, Jugosławii (od 1948), Polski, Rumunii, Węgier, Włoch i ZSRR. Gdy w 1948 roku Komunistyczna Partia Jugosławii popadła w konflikt ze Stalinem, Biuro Informacyjne ogłosiło rezolucję potępiającą jej przywódców, a następnie wykluczyło ją ze swych szeregów. W Jugosławii rozpoczęły się wtedy czystki wśród rzeczywistych i domniemanych zwolenników rezolucji (przyj. red.).

3 Na Nagiej Wyspie (Goli otok) na Morzu Adriatyckim od 1949 roku znajdował się obóz o niezwykle surowym reżimie przeznaczony głównie dla więźniów politycznych (przyj. red.).

od praktyki z czasów ślepego oddania Stalinowi i Związkiowi Sowieckiemu, między innymi o r e t u s z o w a n i a h i s t o r i i: usuwania nieodpowiednich osób z encyklopedii, prac historycznych, kompletów starych gazet, z grupowych fotografii, książek telefonicznych, ze spisów wyborców i w ogóle wszystkiego, co żyje. Czystki odbywały się oczywiście także i po Nagiej Wyspie. Podejrzewam, że w zapadłych okolicach, do których wiadomości nadchodzą z opóźnieniem, cichaczem przeprowadza się czystki jeszcze dziś. Odstępcy pozostali jednak nie tylko w życiu, lecz także w oficjalnych i innych publikacjach. Niektórzy rewolucjoniści mieli bowiem szczęście. Inni go nie mieli. Niektórzy jeszcze istnieją. Inni nie istnieją. Nazwisko i fotografie Milovana Đilasa na przykład – który wszedł w konflikt z partią, został z niej wykluczony i stracił stanowisko po rezolucji Biura Informacyjnego – nigdy nie zostały usunięte z publikacji, nawet gdy później skazano go na długoletnie więzienie. (W tamtych latach po Belgradzie krążyła opowiadka, że Đilas spędza dnie za kratkami, tłumacząc *Kapitał* z serbskiego z powrotem na niemiecki). Dzięki temu, że nadal i s t n i a ł w dokumentach, historiach i monografiach, ten niegdysiejszy sztywny aparatczyk po odbyciu kary został – cokolwiek by to znaczyło – d y s y d e n t e m. Napisał kilka interesujących książek, stał się znany w świecie, zarobił górę pieniędzy.

I w końcu przestał nosić kaszkiet.

Z Rankoviciem było inaczej. On nie naraził się partii. Partia, z sobie znanych powodów, po upadku Đilasa weszła z nim w konflikt. W toku afery z Đilasem twarde skrzydło KPJ gotowe było chwycić za nożyce i tusz. Jednakże w połowie lat sześćdziesiątych – w miarę rosnącego w świecie uznania dla Federacyjnej Ludowej Republiki Jugosławii – skończyły się manipulacje z historią. Rankoviciowi nawet nie odebrano Orderu Bohatera Narodowego. (Odebrano mu tylko prawo do asysty honorowej na pogrzebie). Ranković, rewolucjonista starego chowu, nie mógł się z tym pogodzić. Według niego fakt, że jego nazwisko i postać pozostały

nietknięte, oznaczał rewizjonizm, odstępstwo od linii partii. Resztę życia spędził – angażując do tego kilku wolontariuszy – na usuwaniu swojego nazwiska i wycinaniu swoich fotografii ze wszystkich książek, do których zdołał dotrzeć.